Cena 50 gr.

Przyjaciel PSA

MIESIĘCZNIK

Rok I | Październik 1936 | Nr. 7

JULJAN TUWIM

Dla dzieci o Dżończiu



fot. Adolf Dymsza

Mój piesek Dżoncio (oto go macie),
To mój największy w świecie przyjaciel.

Codziennie w kącie kanapy siadam
I z moim Dżonciem gadam i gadam.

Gadam i gadam, a Dżoncio milczy,
Lecz mnie rozumie piesek najmilszy.

Dziś mówię: „Dżonciu! pomówmy o tem,
„Żebyś od jutra był naszym kotem.

„Będziesz pił mleko i łapał myszy"...
(Dżoncio udaje, że mnie nie słyszy).

„Albo zrobimy z ciebie niedźwiedzia,
„I będziesz w klatce żelaznej siedział,

„Nie będzie szynki, schabu tłustego"...
(Dżoncio udaje głuchoniemego).

„Albo zostaniesz... koniem, powiedzmy...
„Chcesz owsa?"... (Dżoncio jest nieobecny).

„Jeśli nic nie chcesz, to wiesz co zrobię?
„Sklep z kiełbaskami otworzę sobie.

(Dżoncio już uszy postawił sztorcem,
Słucha...) „...A z ciebie zrobię dozorcę,

„Żeby nie skradli kiełbas złodzieje!".
Dżoncio się łasi, Dżoncio się śmieje...

WANDA MELCER

Śmierć Trampa

Nic nie pomogły magiczne znaki, Tramp zdechł. Nie pierwszy raz zauważyłam zresztą, że w stosunku do istot bliskich i drogich mamy jakieś podskórne wyczucie zagrożenia, któremu dajemy upust w sposób czasami prosty (niepokój, obawa, wzmożone staranie), a czasami opaczny. Wtedy mówimy bez przerwy o ich zdrowiu, ich świetnem samopoczuciu, ich jakby nawet niedostępności, niesięgalności przez los. I jeżeli posuwamy się za daleko, to chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy, dzieje się tak właśnie dlatego, że ta sprawa w nich i w nas już dojrzała, że są skazani, że właśnie przystępuje się do wykonania wyroku.

Tramp zaczął gwałtownie kasłać, wyglądało to jak bardzo silne przeziębienie. Ponieważ parę lat temu udało się świetnie wyleczyć z bardzo ciężkiego przeziębienia papugę, wydawało mi się, że i tym razem sobie poradzę. Nacieranie terpentyną, wdychanie pary z rozgrzanej z terpentyną wody, lekarstwo od kaszlu, to wszystko zaczęłam stosować, choć nie odrazu, dopiero w parę dni później. Dziś mam to sobie bardzo za złe, że widocznie mój organizm w najgłębszej głębi podświadomości dba przedewszystkiem o siebie, i to nie tylko o siebie fizycznie, ale o swoje najmniejsze zmartwienie, o byle jakie okrojenie integralności zadowolenia ze świata, o nienaruszalność optymizmu. Dlatego tak niechętnie wierzyłam w chorobę Trampa, tak ją do ostatniej chwili bagatelizowałam, umniejszałam. Ale kaszel, to przecież naprawdę nie było nic wielkiego, pies miał cały czas dobry apetyt, nawet jak gdyby wydobrzał, parę dni był prawie normalnym psem. Potem, kiedy wieczorem wracałam do domu, znowu nie wstawał na moje przywitanie, tylko radośnie uderzał ogonem o podłogę, leżąc na swojej poduszce. W ciszy nocnej, jeszcze zdaleka, kiedy otwierałam drzwi z klucza, słyszałam rytmiczne uderzanie ogonem o podłogę i wiedziałam, że Tramp już dawno wie, że ja nadchodzę do niego przez ciemność nocy, i że się z tego niezmiennie cieszy, przez całe swoje życie jednakowo.

Tego wieczora nic nie usłyszałam. Nie mam elektryczności, którą mogłabym zaświecić, a w pokoju nie było słychać nawet oddechu. Ostrożnie posuwając się w ciemności, podeszłam do jego poduszki, gładziłam ręką jej szorstkość, dotykałam podłogi, szukałam go, nie znalazłam. Pomyślałam że może poszedł nagórę, do mojego sypialnego pokoju, ale kiedy skierowałam się ku schodom, potknęłam się o niego. Leżał cicho, bez ruchu, ale czułam w jakiś specjalny sposób, że przecież jeszcze żyje. Pochyliłam się, żeby go pogłaskać, i wyczułam ręką jego ogromny, wzdęty, gorący brzuch.

Woziłam go po lekarzach. Tu od nas nie można wyjechać żadnym wehikułem, nie można nawet zawołać dorożki, do przystanku jest pół kilometra polnej ścieżki. Przez chwilę pomyślałam, że może dojdzie, z zadowoleniem przyjął nałożenie obroży i smycz, tak dawno już ze mną nie wychodził. Najpierw, psim obyczajem, zatoczył koło mnie krąg, potem przez chwilę szedł po ścieżce, idąc przede mną, potem poprostu usiadł. Wiedziałam, że dalej nie pójdzie, zostawiłam go i wróciłam do domu. We dwie z moją domownicą wzięłyśmy pled, ułożyłyśmy Trampa na pledzie, jak w hamaku, i takeśmy go niosły. W tramwaju już było wszystko dobrze, potem trzeba było czekać w poczekalni lekarza. Jakaś pani przyniosła kota do uśpienia. Kot był w ostatniem stadjum wycieńczenia głodowego i wychudzenia, otępiały na wszystko, choć ona jeszcze go głaskała. Powiedziała, że to nie jej kot i że już nie da się odkarmić, że ktoś go jej podrzucił, a ona nie może patrzeć na jego męczarnie. Może to była prawda. Stały tam w tej poczekalni dwie metalowe, hermetycznie zamykane skrzynie dla usypiania zwierząt, jedna większa, druga mniejsza. Do mniejszej włożyła posługaczka tego upiornego, półobłąkanego kota i zasunęła żelazny rygiel.



fot. Światowid

Wanda Melcer z Trampem

Doktór powiedział, że wypadek jest ciężki i odesłał Trampa do szpitala. Przypomniałam sobie, że w domu jest w piwnicy stary wózek dzieci, i tym razem mógł trochę wygodniej pojechać do przystanku, bo wtedy już było za późno na taką daleką jazdę. Postawiono go na szklanym stole, cierpliwie i spokojnie dał się zbadać i zebrać kateterem mocz do analizy. Potem odprowadzono go do klatki, a ja pojechałam do domu.

Przyjeżdżałam do niego co kilka dni, nie bardzo często, ciągle się oszczędzałam. Przebywał w szpitalu cztery tygodnie, najpierw było z nim źle, potem trochę lepiej, nawet wychodził ze mną na podwórze, tylko że często przysiadał, a w odchodach jego była krew. Doktór powiedział, że pies jest kompletnie zrujnowany, że ma zniszczone płuca, nerki, wątrobę, serce. Poprostu nie chciało mi się w to wierzyć, nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem nic z tego wszystkiego dotąd nie dało się zauważyć, dlaczego okazałam się tak złym obserwatorem, dlaczego ciągle jeszcze wydawał mi się normalny. No tak, siadał może częściej niż zwykle, ale wogóle od czasu, kiedy pan jego umarł i Tramp nie chodził na polowanie, stał się spokojniejszy i ociężały. Nie, naprawdę, nic niezwykłego nie można było w nim zauważyć aż do tej choroby.

Przez jakiś czas była nadzieja, że uda się psa wyleczyć, choć złośliwego płynu z brzucha nie można było usunąć. Lekarz wzmacniał serce, ale już widocznie nic nie dało się zrobić. Kiedy w sobotę rano po czterech tygodniach zatelefonowałam o zdrowie Trampa, lekarz powiedział mi, że trzeba go uśpić.

Pomyślałam o kocie, zamkniętym do metalowej, hermetycznej skrzyni, ale potem znowu zorjentowałam się, że gdybym była nieuleczalnie chora i cierpiała, chciałabym żeby i mnie uśpiono. Ale chociaż dotychczas stosunek do siebie w takim wypadku wydawałby mi się zupełnie miarodajny, nie mogłam się na to zdecydować w stosunku do innego istnienia. Widocznie to nie wystarcza, albo może, ponieważ pies nigdy nie wył ani w żaden inny sposób nie okazywał cierpienia, wydało mi się, że nic nie odczuwa, a może też cofnęłam się na myśl o cierpieniu, jakiegobym doznała sama, żegnając się z nim. Jest też możliwe, że kiedy sami czujemy ból, chcielibyśmy, żeby ktoś nas odgadł, ale tak żebyśmy o tem nie wiedzieli, żeby pożegnanie życia odbyło się bez udziału świadomości, a tutaj następuje przestawienie i z cierpiącego w wyobraźni znowu zamieniamy się w tego, kto zadaje cierpienie, kto na własną odpowiedzialność ma rozwiązać cudzy stosunek ze światem, i to nas przestrasza.

Pojechałam po Trampa, żeby go zabrać do domu.

Był jak gdyby zdrowszy, jakby silniejszy, choć straszliwie wychudzony. Kiedy weszłam do pokoju, gdzie stały klatki z psami, postać jego wyrażała tak bezmierną tęsknotę, że doznałam prawdziwego wstrząsu. Nie odwrócił głowy w moją stronę, nie zauważył, że weszłam, siedział, przyciśnięty do prętów klatki całem ciałem, głowę miał wzniesioną, patrzył gdzieś przed siebie z rozpaczliwem natężeniem. Radość przywołała go do przytomności, wybiegł do mnie, jak uniesiony w powietrze. Siedliśmy do tramwaju, chociaż trudno mu było wejść na stopnie, na przystanku czekały nas dzieci z wózkiem.

Szalona, bezmierna radość, że znów jest w domu, że oddycha powietrzem naszego ogrodu, że na nas patrzy, sprawiła że prawie wyzdrowiał. Ja sama na kilka dni uwierzyłam, że lekarze może się pomylili. Nie wiem, jak on to zrobił, że prawie przytył, że mógł jeść, że jego dusza tak całkowicie opanowała ciało, że tak strasznie się wysilił, żeby jak najdłużej być z nami, że był zdolny do wysiłku, który wydawał się prawie cudem. Kiedy wieczorem wracałam do domu, słyszałam zdaleka jego radosne szczekanie, a potem, kiedy już podchodziłam do furtki — piszczenie czy wycie, i widziałam jak niecierpliwie drapał klamkę pazurami, wspiąwszy się na łapach.

Myślałam parę razy o opisie czyjegoś głosu jako o najtrudniejszem ćwiczeniu literackiem. Jak się poznaje, po czem się odróżnia szczekanie własnego psa z taką dokładnością, że niepodobna w żadnym wypadku się omylić? Teraz nie będę już nawet próbowała, ale kiedy słyszałam to piszczenie, podchodząc do furtki, nie miałam żadnych wątpliwości, że właśnie postąpiłam słusznie, że nie trzeba było dawać go usypiać.

Kilka dni minęło, i duch psa wyczerpał się panowaniem, trzymaniem w ryzach, zrujnowanego ciała. O wschodzie słońca, kiedy tylko otwierałam furtkę, żeby zajrzeć do róż, Tramp podnosił się i wychodził. Najpierw załatwiał swoje potrzeby, a potem siadał na ulubionem miejscu, na piasku przed domem sąsiadów, i podnosił łeb jakby patrzył na słońce. Potem zrozumiałam, że cierpiał, że to wyciąganie szyi było mu do czegoś potrzebne, że może przynosiło ulgę, albo że muskuły same się napinały z bólu. Znowu zapadałam w wątpliwości, czy należało za niego decydować się na tyle cierpienia, w które przecież spoczątku nie wierzyłam. Zatelefonowałam do doktora o lekarstwo, doktora nie było w domu. Zrobiło się południe, wyniosłam Trampowi poduszkę na werandę w cień. W pewnej chwili poczuł potrzebę i ciężko się zwlókł ze stopni, ale wejść już spowrotem nie mógł i przewrócił się w trawę. Nie odrazu to zauważyłam, słońce przypiekało, a on tak leżał cierpliwie i bez głosu. Dopiero po chwili zeszłam ze stopni i choć był bardzo ciężki, zaniosłam go na poduszkę. Potem usiadłam w fotelu, skąd bokiem mogłam go widzieć, i zabrałam się do pisania. Jego pysk miał wyraz obojętny na wszystko i zbolały, jakby ludzki, bardzo skomplikowany, wargi były odwinięte, kły, odsłonięte, tworzyły dziwny rysunek razem z opuszczonym podbródkiem, napróżno spróbowałam ten wyraz odrysować. Muchy też bardzo go męczyły, trzeba go było oganiać, razporaz wstawałam do niego, przyleciały zielone, których tu nigdy przedtem nie było. Czy wyziewał z siebie jakiś specjalny zapach śmierci, na które one były wrażliwe o kilka może kilometrów, a którego ja wcale nie poczułam? W pewnej chwili obtarłam mu pysk, i zobaczyłam z obrzydzeniem, że w załamaniach warg, pod szyją i na brodzie miał całe grona jajek, które te muchy znosiły pośpiesznie, jak na ścierwie.

Poszłam po szmatkę, żeby go obmyć, leżał wyciągnięty i patrzył na mnie, ale to oko, które widziałam, już się nie poruszyło, jak się zwykle porusza żywa źrenica. Właśnie zresztą przyszły dwie panie z wizytą, zdążyłam go tylko przykryć szalem, nie miałam już też i potem nigdy czasu, żeby się martwić, żeby za nim tęsknić, żeby wspominać, co się działo ze mną przez te całe osiem lat, kiedy był przy mnie i kiedy na mnie patrzył.

Pochowałam go pod orzechem.

ROMANA DALBOROWA

Sprawa wiwisekcji

Wiwisekcja służy do wykonywania doświadczeń nad żywemi zwierzętami w celach naukowych, o tem wiemy wszyscy. Ale nie wszyscy wiemy, jak dalece naukowo i w jakich rozmiarach stosuje się to w praktyce. Widocznie, coś było nie w porządku, jeżeli dziesiątki uczonych, w czem większość lekarzy, zajmuje się gorąco tą sprawą od wielu lat i coraz bardziej protestuje przeciwko wiwisekcji. Nie można pominąć znaczenia etyki w tej sprawie. Jest coś zdecydowanie obrzydliwego w znęcaniu się nad słabym i bezbronnym. Pozatem nie jest wyjaśnione, jak dalece wiwisekcja jest konieczna dla nauki. Są uczeni, którzy widzą w niej jeden z mocniejszych atutów do uzyskania wiedzy w walce z chorobami. Są inni, którzy uważają, że jest absolutnie zbyteczna. Są tacy, którzy twierdzą, że jest potrzebna jedynie w skromnym zakresie. Większość uważa, że w obecnych rozmiarach nie jest koniecznością.

Wiwisekcja dziś uprawiana jest pełna okrucieńswa. Robi się szereg operacyj bez znieczulenia; aby zwierzę się nie rzucało — przywiązuje się je do stołu; aby nie mogło wydać głosu — przecina mu się struny głosowe. Wyjątki z rozmaitych pism lekarskich, opisujące wiwisekcję, są czemś koszmarnem.

Towarzystwa opieki nad zwierzętami wystąpiły z projektami, regulującemi tę sprawę; uznając wiwisekcję narazie jako „zło konieczne", żądają, aby rzeczywiście tylko w celach naukowo-badawczych, za specjalnym pozwoleniem władz najwyższych, wolno było robić doświadczenia nad żywemi zwierzętami. Konieczne jest, aby prawo do tego mieli jedynie profesorowie i docenci. Rozumie się, że poza wyższemi zakładami naukowemi nie powinno się robić tego rodzaju doświadczeń, a już szczególnie w szkołach średnich i niższych. Nie powinna być dozwolona wiwisekcja dla celów naukowo-demonstracyjnych. Zostało to już uznane na Zachodzie. Zwierzę musi być pod narkozą w czasie operacji, czy też dostać znieczulenie miejscowe; w razie gdyby miało bardzo cierpieć po obudzeniu — wskazane jest niebudzenie go do życia. Nie należy używać więcej niż raz tego samego zwierzęcia do doświadczenia. Przed i po dokonaniu badań zwierzę musi być traktowane jak chore, czyli musi być odpowiednio odżywiane, pielęgnowane i mieć dobre warunki istnienia. W wypadkach, kiedy cierpienie musi być wyjątkowo okrutne — należy raczej zrezygnować z doświadczenia. Wszystkie te postulaty zostały częściowo lub w całości uznane już w wielu krajach.

Naturalnym biegiem sprawy, wiwisekcji dokonywają w dużej większości lekarze, czyli ludzie przeznaczeni do niesienia pomocy, ulgi i dobra ludziom. Jest coś potwornego w tem, przez jak wielkie zło idą do tego dobra. Czy aby napewno jest to konieczne? Oto niepokojące pytanie, nad którem każdy z nas ma prawo się zastanowić i czekać na odpowiedź, bo o nas to przecież chodzi. Czy przyzwyczajanie do widoków brutalnych i budzących wstręt — nie zabija uczuć ludzkich, nie budzi chociażby podświadomego okrucieństwa?

Wzruszające jest upominanie się związków antywiwisekcyjnych, do których należą uczeni wielkiej miary, z uwagi na swój fach wyzbyci sentymentalizmu, o wykluczenie przedewszystkiem psów, a potem innych zwierząt domowych, jako objektów doświadczeń. Ten szczególny nacisk na psy dowodzi, że istnieje w tej sprawie także podkład etyczno - psychiczny.

Ruch antywiwisekcyjny powinien rozwinąć się i w Polsce; bo przecież probierzem kultury narodu czy też człowieka jest m. in. jego stosunek do zwierzęcia.

MIECZYSŁAW CENA dr. med. weterynaryjnej

zdjęcia z hodowli STANISŁAWA LEWANDOWSKIEGO i IRENY MORACZEWSKIEJ we Lwowie

Polski pies do wszystkiego

Jak kiedyś siedem miast greckich walczyło o uznanie ich za rodzinne miasta Homera, tak i dziś trwa jeszcze walka dwóch krajów — Francji i Niemiec — o prawo autorstwa hodowlanego na psim terenie. Obadwa państwa, przedzielone linją Maginota, roszczą sobie pretensje do wyhodowania „psa do wszystkiego"



Smok

— owczarka alzackiego, zwanego też niemieckim.

Kynologowie, fachowi rzecznicy obu stron, toczą spór o tę kwestję graniczną, mimo że nie ulegają wątpliwości dobrze nabyte prawa naszych zachodnich sąsiadów, dzięki którym rasa owczarków alzackich zdobyła sobie uznanie na całym świecie, spełniając najrozmaitsze



Smok na czatach

usługi we wszystkich możliwych psich służbach.

Wojna światowa przyczyniła się walnie do ich rozpowszechnienia, jak również do pobudzenia patrjotycznych ambicyj hodowców wszystkich krajów, których celem stało się wytworzenie krajowej rasy psa owczarskiego z tubylców. Tak więc dzięki tej kynomachji prawie każdy kraj europejski szczyci się dzisiaj posiadaniem kuzyna niemieckiego rekordzisty psiej użytkowości i ustaleniem standardu swej rodzimej rasy.

Do tego wyścigu na polu psiej hodowli stanęła również Polska, która ma wszelkie dane aby nie pozostać wtyle.



Smok na spacerze z Marysią

Jakkolwiek, narazie przynajmniej, niema nadziei na wyprzedzenie wymienionego leadera owczarskiego rodu pod względem użytkowości, ani najpiękniejszego z jego licznej rodziny, szkockiego collie, w konkurencji wystawowej, to jednak usiłowaniom polskich hodowców i miłośników polskiego psa rasowego należy jedynie przyklasnąć, gdyż dzięki nim zachowają się te cenne psie zabytki, które powinny być objęte dobrodziejstwami ustawy o ochronie przyrody.

Historja Polski wykazuje, że kraj nasz słynął nie tylko z mnogości pięknych koni, ale i ze znakomitych psów, z których ogary i charty były sławne na całym świecie. Dzisiaj z ogarów, którym Ostroróg poświęcił słynne „Myślistwo z ogary", niema prawie śladu, a gdzieniegdzie w zapadłych kątach kraju tułają się zdegenerowane niedobitki dawnych chartów, które wraz z koniem i sokołem tworzyły rycerską trójkę zwierzęcą, stanowiącą niezbędny rekwizyt rycerskich łowów. Potomkowie obu tych ras wiatronogich myśliwców zostały wskutek wiekowych zaniedbań sprowadzone do wspólnego „mianownika", którym jest w psiej hodowli produkt mozaikowej krzyżówki, kundel — a jedynie wyobrazić sobie możemy ich użytkowe zalety i piękno kształtów na podstawie pomników ówczesnej literatury i zachowanych sztychów i dzieł sztuki.



Tutny



Oblicze Tutnego

Taki sam niewesoły koniec grozi i polskim owczarkom, jeśli nie uratuje ich polska kynologja przy pomocy szerokich rzesz przyjaciół rasowego psa. Głównym rezerwatem, w którym jeszcze żyją ci ostatni mohikanie polskiej rasy psów owczarskich, to górskie okolice Karpat i Tatr. Szczególnie Podhale, gdzie psy owczarskie wykonywają służbę strażniczą przy stadach owiec, jest źródłem pełnem psiego materjału hodowlanego, od którego zaczęło się już odrodzenie i próby ustalenia właściwego naszym okolicom, charakterystycznego typu.

Psy te są nieocenionymi towarzyszami pasterzy, pilnując ich stad z punktów obserwacyjnych, z których mogą ogarnąć wzrokiem wszystkie zwierzęta powierzone ich opiece. Jest to ciężka, prawdziwie „psia" służba, w której zwierzę, znajdujące się na wyższym poziomie umysłowym i oddawna sprzymierzone z człowiekiem, pomaga mu w utrzymaniu w karbach niesfornego stada baranów idących przysłowiowym owczym pędem.

Polskie psy owczarskie mają silnie rozwinięty instynkt, nakazujący im utrzymywać stado w skupieniu. Czworonożni strażnicy stadnego porządku są wyposażeni w daleko idące pełnomocnictwa i możność wymierzania kary schwytanym na gorącym uczynku owieczkom, które schodząc na błędne manowce, odłączają się od owczego społeczeństwa. Po ostrzeżeniu głośnem szczeknięciem, zawraca zwykle owca ze złej drogi, w razie jednak jawnego nieposłuszeństwa pies nakłada na nią mandat karny w postaci ukąszenia w tylną nogę, czem zmusza ją równocześnie do szybkiego powrotu. Owce-recydywistki są karane bez upomnienia, pies zaś pilnujący kilkuset sztuk doskonale pamięta czarne charaktery i rogate temperamenty swej parafji, mimo że nie prowadzi albumu owczych przestępców.



Nina

Energja tych psów jest niepożyta, gdyż pracują one z pełnem poczuciem wielkiej odpowiedzialności prawie 24 godziny na dobę, strzegąc w dzień owiec, w nocy zaś obiegając zagrodę i domostwo swoich panów. Przestrzegają poszanowania prawa własności na powierzonym ich opiece obszarze, na który nie wpuszczają nikogo obcego, głośno sygnalizując zbliżanie się nieznajomej osoby już na strefie neutralnej. Wybiegają wtedy na pas graniczny dla jego ochrony przed najściem intruza. Pomocny im jest szereg innych, nawet obcych psów, gdyż działa wtedy skomplikowany aparat psich punktów obserwacyjnych, które zawiadamiają się wzajemnie o przejściu podejrzanej osoby, lub zwierzęcia w okolicy swego rejonu. Przemarsz jego bywa sygnalizowany szczekaniem, którem poszczególni czworonożni strażnicy informują się o godnych wzmianki wydarzeniach, zachowując się tak jak gdyby byli zrzeszeni w zawodowy związek nocnych stróżów.

Gdy obcy przybysz wejdzie do strzeżonego kręgu dzięki zezwoleniu i ochronie właściciela psa, który musi odpędzać swego gorliwego cerbera, czworonożny stróż ani na chwilę nie spuszcza gościa z oka i przy wyjściu odprowadza go do granic, obserwując bacznie, czy rzeczywiście odszedł. Tam, o ile jego rozkazodawca zawczasu temu nie zapobiegnie cerber uważa się za zwolnionego z obowiązku gościnności i przy przekraczaniu granicy może zatopić swoje wilcze kły w nodze eskortowanego człowieka. Takie swoiste prawo gościnności, które łączy się z instynktem obrony granicy, jest wrodzone wszystkim psom owczarskim i ich pochodnym — kundlom. Przypomina to prymitywne zwyczaje dzikich ludów, nakazujące ugościć nawet wroga, jeśli wszedł na terytorjum gościnnego gospodarza, a pozwalające zabić go po przekroczeniu granicy.



Młodzież

Owczarki polskie są bardzo podobne do owczarków węgierskich żyjących z drugiej strony tatrzańskich turni, z któremi są związane węzłami krwi. Kto wie, czy sczasem nawet nie wyłoni się w tej materji spór między dwoma „narodami-bratankami". Również psy owczarskie, pełniące swoją służbę za barjerą Pirenejów, żywo przypominają naszych stróżów owiec.

Na czoło licznych odmian nieustalonej jeszcze polskiej psiej rasy wybija się polski owczarek górski, zwany też tatrzańskim, podhalańskim, lub liptowskim. Jest to duży, najczęściej białej maści kudłacz, dosięgający 75 cm wysokości, a mimo to krępy, o budowie zwartej i silnej, łączącej w przedziwnie harmonijny sposób siłę i wytrzymałość — konieczne zalety zwierzęcia nie mającego pojęcia o 8-godzinnym dniu pracy. Dzięki tym cennym wrodzonym zaletom i niezwykłej odporności na niekorzystne warunki atmosferyczne, jest on również niezastąpionym psem łańcuchowym, należąc w tej konkurencji chyba do psich mistrzów świata.

Niektóre długowłose okazy podobne są do białych, polarnych niedźwiadków i posiadają wspaniałe walory dekoracyjne, typujące je na krzyk psiej mody. Po odpowiedniej pracy nad niemi i przy zręcznej propagandzie, mogłyby one znaleźć się na pierwszych stronach psich żurnali, lansujących ostatnie nowości w szerokim świecie miłośników psów, a w każdym razie poważnie zagrozić egzotycznej psiej gwieździe chow-chow, którego przewyższa zarówno inteligencją jak i prezencją. Biel kosmatego futra, na której tle czernieją jedynie trzy punkty oczu i nosa, przy racjonalnej pielęgnacji i fryzjerskich zabiegach mogą zaspokoić najwybredniejsze nawet wymagania znawców i amatorów zwiedzających psie wystawy.

W obecnej chwili polska rasa owczarków znajduje się w takiej samej fazie rozwojowej, w jakiej zastał owczarka alzackiego w r. 1900 jego odkrywca rtm. von Stefanitz. Od energji polskich sfer hodowlanych zależy rozkwit lub upadek tej jedynej rodzimej psiej rasy, dzięki którym polski „pies do wszystkiego" wzniesie się na te same wyżyny doskonałości, na jakich świeci przykładem jego kuzyn, podzieli los polskich ogarów i chartów, albo wreszcie zejdzie do roli ozdobnego psa pokojowego.

Nad tą piękną rasą psów pracuje obecnie szereg hodowców i Korpus Ochrony Pogranicza, który już przed czternastu laty zwrócił na nie uwagę i zaprawia je do służby meldunkowo-wywiadowczej. Przez odpowiednią selekcję hodowlaną możnaby psy te uszlachetnić, ustalić szereg odmian i poprawić ich typ użytkowy, jak to zrobili Niemcy ze swoim zwierzęcym modelem, zmieniając go w ciągu kilkunastu lat jakże owocnej pracy. W ten sposób możnaby wytworzyć z polskiego owczarka psi ideał, łączący dobre psie serce swojskiego kundla z inteligencją uszlachetnionego typu owczarka. W możliwościach jego leży bowiem pełnienie wszystkich działów psich służb, z policyjną, wojskową i sanitarną naczele. Nie należy jedynie zasklepiać się w hodowli jednej tylko, białej odmiany, pamiętając że biała maść nie jest najodpowiedniejsza dla szczekających pomocników żołnierza jako zbyt łatwo wpadająca w oko, gdy czarna odmiana mogłaby znakomicie wykonywać ten niebezpieczny zawód.

W obecnej chwili czworonożnemu autochtonowi daleko jeszcze do „uniwersyteckiej" wyżyny wyszkolonych owczarków alzackich, jednak wrodzona jego inteligencja pozwala spodziewać się, że i w jego granicach możliwości leżą te same psie rekordy użytkowej wszechstronności, o ile polscy fachowcy nie będą szczędzili zapału i trudów. Jak narazie, sprawa ta posuwa się żółwim krokiem,



Owczarek z Czarnohory

gdyż brak standardu uniemożliwia celową pracę, i dlatego nie należy spodziewać się w krótkim czasie możliwych a tak pożądanych rezultatów.

Polski „pies do wszystkiego", wszechstronnie użytkowy owczarek polski godny jest, nie tylko dla szowinistycznych pobudek, odnalezienia drogi do polskich buduarów, domostw i koszar policyjnych i wojskowych.

Aby jednak do tego doszło, musi się przypominać na każdym kroku: „zanim kupisz psa rasy zagranicznej, obejrzyj psa polskiej rasy" i wajać, jak kategoryczny imperatyw, hasło: „polski pies w polskim domu".

Psy naszych czytelników



Fox-terriery Mickey i Mouse (własność ambasadorostwa Michałostwa Sokolnickich w Angorze)



West-highland-terrier Ellie (własność p. Czesławy Kanelbaumowej w Otwocku)



Bokser Dargo (własność Zofji Beynarowiczówny we Lwowie)



Collie Zeus (własność Alicji Czerwińskiej w Warszawie)



Cocker - spaniel Chlöe (własność inż. Wiesława Oyrzanowskiego w Kutnie)



Wilk Bodo Sarmatia (własność Florjana Stróżyka w Poznaniu)

Blaski i cienie opieki nad zwierzętami

W przytułku na Golędzinowie

Niepotrzebne psy — Dzieje pewnego schroniska

Tak właśnie wyobrażam sobie kolonję trędowatych: ta sama tępa, duszna beznadziejność wegetacji, zamkniętej szczelnie wysokim, drewnianym parkanem i odgrodzonej podwójną furtką od świata, ta sama namiętna, łapczywa chciwość życia, ta sama wreszcie ponura groza powolnego konania, przedłużanego codzienną miską ciepłej strawy.

To warszawskie schronisko dla bezdomnych zwierząt w Golędzinowie.



Marszalek Piłsudski ze swoim wilkiem

W samem ostrzu klina między krzyżującemi się w tem miejscu torami kolei i kolejki, na terenach wojskowych, oddanych kołu schroniskowemu z inicjatywy Marszałka Piłsudskiego za symboliczną jedną złotówkę tenuty dzierżawnej rocznie, mieści się niewielki, arcyprowizoryczny domek drewniany — przystań zwierząt skołatanych życiem i skrzywdzonych przez los lub chorobę.

Mówi się, oczywiście, „zwierzęta", ale jest niemal jasne, że idzie tu właściwie tylko o koty i psy, odosobnione zresztą od siebie przy pomocy gęstej, drucianej siatki, oddzielającej przyznane im terytorja. Dzięki tej siatce odwieczny antagonizm obu ras nie zamienił się coprawda w idylliczne współżycie, w biblijną sielankę przyszłości („lew przy jagnięciu..."), ale zato złagodził do rozmiarów rzeczowego kontrastu: bujny, kipiący, choć schorzały temperament psów podkreślony jest mocnym akcentem nieruchliwej i beznamiętnej kociej kontemplacji.

Przypadek zrządził, że schronisko w Golędzinowie oglądałem nazajutrz po zwiedzeniu wystawy psów rasowych na Dynasach. Może to żywa jeszcze pamięć o doborowych okazach starannie wyszczotkowanych, dobrze odkarmionych, zamkniętych w czyściutkich „boksach" lub nawet śpiących na niklowych łóżeczkach (brr!), sprawiła, że tak bardzo rozpaczliwie zarysował mi się obraz doli schroniskowych pensjonarjuszy. A może nie ona tylko...

Z kogo rekrutują się psy w Golędzinowie?

Są tu ponure, bezpańskie włóczęgi, powyłapywane na ulicach przez członków lub sympatyków koła, nieuleczalni pacjenci i podstarzali emeryci, dokonywujący tu resztek swego niepotrzebnego już ludziom żywota, notoryczne trampy, gryzonie-recydywiści, a wreszcie zdrowe kundle, kórych wartość rynkowa jest wielokrotnie niższa od podatku, jaki trzeba za nie uiścić.

Cała ta groźna, niespokojna masa czworonogów różnego kalibru, różnej maści i różnego pochodzenia rzuca się w kierunku wchodzącego z hałaśliwem ujadaniem. Obnażone kły i chustką obwiązana ręka odźwiernej nie zdają się wróżyć nic dobrego spodniom przybysza. Jakoś nie bardzo pokrzepiająco brzmią także słowa, rzucone jeszcze zza kraty:

— Niech pan się zachowuje odważnie i spokojnie. Bo gdyby choć jeden tylko, broń Boże, ugryzł, wtedy cała osiemdziesiątka, jak ich tu jest...

Szczęściem, obawy okazują się najzupełniej nieuzasadnione. Kilka najbliższych psów gruntownie obwąchuje przybysza i stwierdza widocznie zupełne bezpieczeństwo z jego strony, gdyż reszta, wyładowawszy swoje zupełnie zrozumiałe oburzenie na intruza i nasyciwszy ciekawość, powraca uspokojona do normalnych zajęć, t. j. do łowienia dokuczliwych much, wylizywania misek lub wylegiwania się w skąpym cieniu płotu i jakiegoś rachitycznego drzewka.

Nie wszystkie zdobyły się jednak na tak absolutną obojętność. Niektóre, złaknione pieszczot, czy też (jak twierdzą sceptycy) dręczone przez pchły, ocierają się lubieżnie o moje nogi, inne w wyraźnie już przyjacielskich zamiarach skaczą ku mojej twarzy i zachęcają całem swem zachowaniem do zwykłych igraszek.

Nie zawsze można im pofolgować. Coprawda, wszystkie psy, chore na przypadłości groźne dla otoczenia, zamknięte są podobno w klatkach, ale na majdanie przed domem roi się od rekonwalescentów z niewyleczoną lub może niespostrzeżoną wysypką, z ledwie gojącym się trądzikiem lub grzybkiem. Te stygmaty choroby, wżarte odrażającą różowością w gładką sierść zwierzęcą, budzą pomieszane uczucia, podkreślając raz jeszcze owo nieprzeparte skojarzenie z kolonją trędowatych.

Z tem wszystkiem jednak — cóż za niezrównana kolekcja typów. I cóż za wymarzony teren do studjów psy-chologicznych dla Dygasińskich, Londonów i Curwoodów.

Oto imponujący Minister, frant i zabijaka, pierwszy u miski i w natarciu na nieproszonych gości, zawzięcie zazdrosny o każdą sukę, na którą zwrócił załzawione miłosne oko. Biada psu, który śmiałby sunąć w koperczaki do tej samej co on damy, lub sprzątnąć mu upatrzoną kość. Biada psom, które poczubią się między sobą o kąsek jadła, bo wtedy zjawia się Minister i salomonowym sądem usuwa sporny przedmiot w głąb swej nienasyconej gardzieli. Zwyczajnie — Minister.



Minister

Przeciwieństwem jego jest Kulunio, obciążony zdecydowanym kompleksem niższości, mającym najzupełniej wystarczający podkład w upośledzeniu fizycznem. Kulunio zawdzięcza swe, nie tyle wdzięczne co trafne, imię brakowi jednej przedniej łapy, uciętej prawdopodobnie przez tramwaj nieco poniżej zgięcia. Pogrążony w krańcowej apatji, leży zwykle bez ruchu gdzieś w kącie, obojętny na wdzięki suk i powaby jadła, do którego trzeba go usilnie namawiać. Czasem kuśtyka na trzech zdrowych łapach, uważając przytem starannie, aby nie wejść nikomu w drogę, czasem zaszywa się w głąb budy, tak że go nie może dosięgnąć szklane oko mego kodaka. Niepodobna go stąd wywabić nawet najsmakowitszym kąskiem: ostrożny i podejrzliwy, nie chce ryzykować swego spokoju i bezpieczeństwa za cenę znikomych marności.

Oto najtroskliwsza z matek, fox-terrierka jamniczka, ociemniała już ze starości, lecz stosunkowo dobrze orjentująca się co do kierunku resztkami węchu, jaki jej pozostał. Na tle prostackiego otoczenia, z wdziękiem obnosi swoją dystynkcję, a ponieważ znaczy więcej swą rasą niż indywidualnością (co nie jest bynajmniej fenomenem w niektórych środowiskach), nazywają ją poprostu Jamniczką, podobnie jak w słynnej sztuce Gorkiego „Na dnie" owego Barona, który — jedyny spośród osób dramatu — nie ma ani imienia, ani „otczestwa", ani nazwiska.



Macierzyńskie pieszczoty

Wewnątrz domu, w klatkach, siedzą izolowane zwierzęta chore zakaźnie. Jakiś psiak, cierpiący na zapalenie płuc, zamknięty jest poprostu w szafie, prawdopodobnie w przypuszczeniu że jest to najwłaściwsze locum na tę przypadłość. Brudne i ciasne pomieszczenia, niewygodne, odmykające się klatki i przytłaczający zaduch robią już w pierwszej chwili makabryczne wrażenie. Potęguje się ono jeszcze pod wpływem przejmujących scenek, jakie się tu rozgrywają. Wolno wałęsające się psy wpadają tu nieraz, baraszkując, i gżą się nienasycenie na oczach, odosobnionych w klatkach i skazanych na przymusowy celibat, towarzyszy, którzy wyją boleśnie. Przez otwory w klatce toczy się walka izolowanych psów ze zdrowemi — w rezultacie chore są właściwie wszystkie, gdyż tylko jeden, cierpiący na accarus (weszkę), odbywa racjonalną kwarantannę za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Toteż szczeniaki nie chowają się w schronisku, zdychając już po paru tygodniach na nosówkę lub którąś ze skórnych dolegliwości.

Cztery kobiety, zajęte dozorowaniem schroniska (i nawiasem, żyjące w „pieskich" warunkach: śpią po dwie w małej klitce wraz z kilkunastoma psami), nie mogą albo nie potrafią utrzymać ładu w tandetnym domku, o wiele za małym w stosunku do ilości pensjonarjuszy, którzy go zamieszkują. Szczupły, czterotysięczny budżet koła schroniskowego, oparty wyłącznie na dobroczynności znikomej garstki członków, nie wystarcza, mimo gorliwych wysiłków zarządu, na stworzenie odpowiednich warunków dla zwierząt. Dość powiedzieć, że niema tu nawet przyzwoitej balji, toteż psy kąpane są zaledwie raz na kilka miesięcy albo i rzadziej jeszcze. Z zazdrością myśli się o nowopowstałym zakładzie w Katowicach, gdzie są wanny i gdzie dla każdego psa przeznacza się po 5 m² pomieszczenia.

I pomyśleć, że psy zamieszkałe w schronisku, wykupywane są nieraz od rakarza i ocalane od iskry elektrycznej, do której tęskniłyby może, gdyby samobójstwo było aktem samoobrony, znanym ogółowi zwierząt.

Biedne, niepotrzebne psy.

Wychodząc z obrębu schroniska, oglądam dokładnie bramę, aby zobaczyć, czy napewno niema nad nią owego słynnego napisu, który miał znajdować się nad wejściem do dantejskiego piekła.

Tadeusz Heller.

*



Na majdanie

Kiedy stara nędza bez miłosierdzia ostrzy swoje żółte kły na rodzaju ludzkim, wówczas opowiadają zazwyczaj ludzie, że przypadła im w udziale psia dola albo że wiodą psie życie. Nikomu jednak nie przyjdzie na myśl, że porównanie to jest niedokładne. W istocie psia gehenna przewyższa biedę ludzką choćby przez to, że przecież pies występuje w niej zawsze jako bezbronna ofiara, która w niczem nie zawiniła i postępowaniem swojem nie przyczyniła się do beznadziejności swego losu. Człowiek odgrywa wielką rolę na arenie świata, a czworonóg zadowala się bardzo mizerną pozycją jego pokornego sługi i najwierniejszego przyjaciela. W większości wypadków klęski, spadające mu na barki, przygotował sobie sam człowiek, pieczołowicie wyhodowując w przeróżnych laboratorjach wynalazki gazów trujących czy też patronując głupocie polityki, siejącej nienawiść między narodami. Tymczasem żaden porządny kundel nie wyszczekiwał hymnów pochwalnych na cześć wojen, il Duce albo Hitlera, nie palił zbiorów bawełny, nie zatapiał nadmiaru kawy, gdy bliźni w innych krajach marli z chłodu i głodu. A mimo to niesprawiedliwa nemezis dziejowa obdzieliła go srogim szturchańcem.

Jednem z najsmutniejszych słów, jakiemi rozporządza słownik ludzki, jest bezdomność. Tragedja nie staje się ani o odrobinę mniejsza, gdy ofiarą bezdomności pada nie człowiek, lecz jego czworonogi przyjaciel. Ale gdy przed kilkoma laty grono osób, w których sercach tliły się gorące płomyki miłości do zwierząt, założyło przytułek dla bezdomnych psów, zewsząd posypały się na entuzjastów gromy potępienia. To wstyd, hańba, troszczyć się o psiaki, kiedy ludziom brakuje łyżki strawy i kiedy nie mają co włożyć na grzbiet! A co zawinił pies, że na świecie szaleje kryzys? — odpowiadali entuzjaści, tłumaczyli długo i szeroko zacietrzewionym przeciwnikom, wreszcie zrezygnowani machali ręką... i prowadzili swoją akcję dalej.

Ciężkie były pierwsze chwile schroniska. Z drobnych składek z trudnością można było zebrać sumę, potrzebną na komorne, a tu czekało jeszcze tyle piszczących z głodu zabiedzonych pupilów na porcję kaszy lub ziemniaków. Więc założycielki same przynosiły do psiego przytułku resztki z obiadów, odpadki i stary zeschnięty chleb, wybłagany u krewnych i znajomych. Początkowo schronisko nie mogło sobie pozwolić na luksus trzymania służby, więc codzień zmieniające się dyżurne zakasywały rękawy i przy pomocy dużej ilości wody, szarego mydła oraz szczotki doprowadzały zaniedbane włóczęgi do wyglądu uczciwego, porządnego psa. Zawodne okazało się wybieranie mieszkania na odległych peryferjach miasta, bo z każdego prędzej czy później psi przytułek wyrzucał gospodarz, tłumacząc się że niesforni lokatorowie ujadaniem spędzali sen z oka wszystkim mieszkańcom dzielnicy. Trudno, trzeba było pakować manatki, transportować pupilów i szukać innej siedziby.

Wreszcie uśmiechnął się los do organizacji.

Pewnego razu „agent" towarzystwa, drabisko blisko dwumetrowej wysokości, w braku lepszego zajęcia chodzące do szkoły, przyprowadził do schroniska psa-tułacza. Po niemiłej dla pacjenta procedurze mycia, szorowania i czesania, wyjrzała na świat taka sympatyczna i rasowa psia morda, że przewodniczącej, asystującej przy tej operacji, nasunął się pewien pomysł. Może warto ogłosić w pismach, nuż właściciel wypłaci nagrodę za przyprowadzenie psa? Jakże przydałoby się trochę grosza przytułkowi! Ogłoszenie dano. W kilka dni potem przed domem, w którym znajdował się przytułek, zatrzymał się wspaniały samochód. Wysiadł z niego wysoki wojskowy. Nie zawiódł wilczur pokładanych w nim nadziei organizatorów schroniska. Pies był własnością Marszałka Piłsudskiego, i pan jego, uradowany odnalezieniem ulubieńca, sowicie wynagrodził organizację. Marszałek ofiarował schronisku domek z kawałkiem gruntu tuż pod Warszawą. Rozwiało się wreszcie widmo eksmisji. Teraz lokatorowie schroniska mogli bez narażania się na przykre konsekwencje ujadać ile tylko dusza i psia fantazja zapragnie. Nastąpiła nowa lepsza era dla przytułku.



Marszałek Piłsudski ze swoim wilkiem

Niedawno odwiedziłam je z członkinią, jadącą na dyżur, już w nowej, własnej siedzibie. Drewniany parterowy domek rozbrzmiewa zdaleka głośnem szczekaniem. W zagrodzeniu opada nas gromada psiaków, gwałtownie manifestująca radość z naszego przybycia. Ponieważ jestem obca i nie posiadam żadnej paczki, z którejby zalatywał przyjemny zapach, witana jest głównie moja towarzyszka. Psia oaza, ostoja biednych bezdomnych czworonogów, składa się z trzech izb, kuchenki i dwóch sionek. Od podłogi aż pod sam sufit piętrzą się jedna na drugiej duże drewniane klatki. Na słomie leżą tam psy chore lub zbyt jeszcze osłabione, aby mogły brać udział w wesołym spacerze na podwórzu. Przechodzę od klatki do klatki i zapoznaję się z psią gehenną. Psina w najwyższej klatce ma poranione łapy w długiej tułaczce po mieście, szukając swoich państwa, pościerała sobie pazury do krwi. Tamten pies jest ślepy. Jacyś okrutnicy zalepili mu ślepia smołą. Podobno dla żartu... W trzeciej klatce użala się mały kundelek nad swoją przetrąconą łapką. Mieszkaniec czwartej leży bezwładnie niby czarna kłoda, i tylko słabe drgania są znakiem, że pies żyje. Nawet miska z mlekiem, przedmiot zazdrości pozostałych stworzeń w izbie, nie zachęca go do podniesienia łba. Byliśmy przekonani — objaśnia dyżurna — że to paraliż, ale weterynarz zapewnia, że to jedynie krańcowe wycieńczenie. Po kilkotygodniowym pobycie w schronisku, gdy biedne zwierzę przekona się że ludzie nie tylko kopnięcia i szturchańce mają dla niego, ale i dobre słowo z odrobiną strawy, wróci do zdrowia i będzie biegało z pozostałą zgrają po dziedzińcu.



Jasio, pupil schroniska

Czy zwierzęta pozostają w schronisku na stałe?

Nie. Celem koła schroniskowego jest ochrona przed bezdomnością i najstraszniejszem, co może spotkać stworzenie — wiwisekcją, a następnie znalezienie im nowych właścicieli. Naturalnie przed oddaniem zbieramy starannie referencje, czy stworzenie dostaje się w dobre ręce, i co pewien czas sprawdzamy traktowanie nowych panów. Mamy wielu pupilów, umieszczonych w samej Warszawie i okolicy, zdarza się też czasami, że opieka wydaje się nam niedostateczna, i pies wędruje spowrotem do przytułku. Niektóre psy pozostają aż do ostatka swoich dni w tej psiej oazie.

W tem psiem państwie, w którem najważniejszą osobistością jest stary wyga Azor, królujący w ogrodzeniu przeznaczonem dla staruszków, panuje niespodziewanie idealna wprost zgoda. Widocznie wspólna niedola zbliżyła do siebie i związała węzłami przyjaźni całą psią gromadę, bo walki między niemi są rzadkością, a cały wojowniczy temperament wyładowują, zresztą nieszkodliwem, bo przez płot, atakowaniem nielicznych przechodniów. Nigdy się też nie zdarza, aby nowosprowadzony pies pogryzł ludzi, opatrujących rany lub szorujących z brudu i zaniedbania. Jakiś instynkt niezawodny każe im odróżniać człowieka złego od tego, który wprawdzie zadaje im ból, ale który czyni to dla ich dobra.

Hanna Muszyńska.

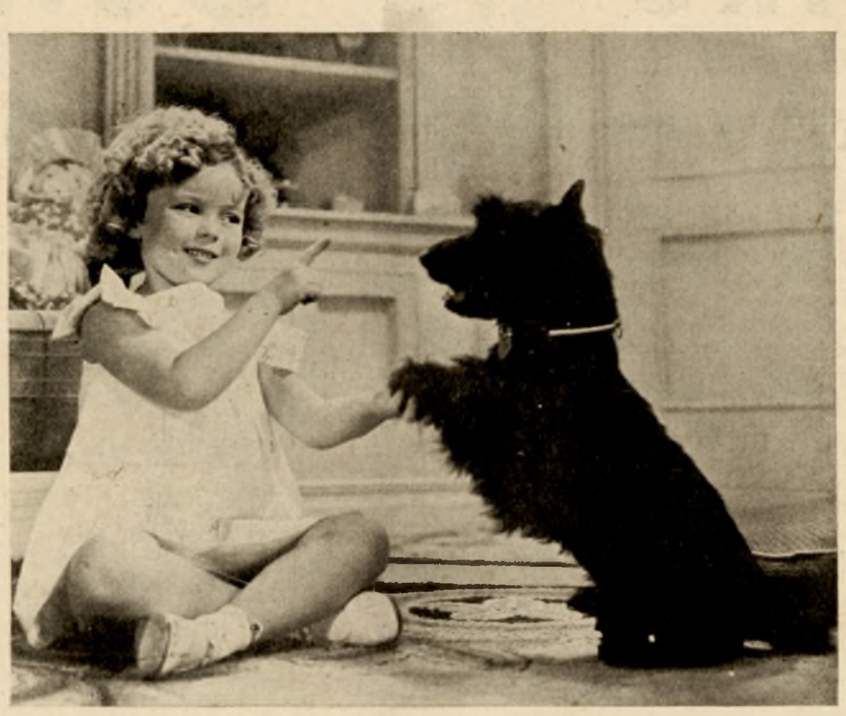
Artyści filmowi i psy



fot. Paramount
Fred Mac Murray



fot. Paramount
Charlie Ruggles



fot. Fox
Shirley Temple



fot. Paramount
Charlie Ruggles



fot. Paramount
Frank Forrest

Psie ex-librisy

Ex-libris, czyli nalepka na wewnętrznej stronie okładki, tworząca znak właściciela książki, w swem rozmaitem ukształtowaniu artystycznem, t. j. graficznem lub typograficznem, nosi najczęściej wyobrażenia i symbole, świadczące o osobowości, zamiłowaniach i skłonnościach zbieracza. W dość bogatej i urozmaiconej współczesnej polskiej twórczości graficznej na zainteresowanie miłośników i przyjaciół psa zasługują dwie tegoroczne nowości ex-librisowe.



rysunek **Wacława Breitera**

Przedewszystkiem — znak książkowy (format płyty 86 x 62 mm, papieru 143 x 123 mm), wykonany w akwaforcie przez pracowitego i utalentowanego grafika lwowskiego Wacława Breitera dla I. Stasia. Przedstawia on dwa psy — charta i scotch-terriera — ujęte w pozie oczekiwania i natężonej uwagi, na tle zlekka zaznaczonego pejzażu, w którego głębi odcina się postać eleganckiego myśliwego, idącego ku psom i widzowi ze strzelbą, przewieszoną przez plecy. W sposobie ujęcia tego użytkowego drobiazgu graficznego artysta położył specjalny akcent na psy. Umieszczone na pierwszym planie i wymodelowane realistycznie, tworzą one w perspektywie całości, niestety, „obrazek", zamiast nadawać „psiemu" tematowi walory czysto dekoracyjne, odpowiadające płaszczyznowo-użytkowemu przeznaczeniu tego rodzaju kompozycji. W górnym lewym rogu umieszczony napis „Ex libris I. Stasia" niezbyt odpowiednio kontrastuje swą typograficznością z całością akwaforty.



rysunek **Ludwika Tyrowicza**

Również w zastosowaniu do myśliwskiego tematu zjawia się pies w tegorocznym ex-librisie Ludwika Tyrowicza, także czołowego lwowskiego grafika, wykonanym dla K. Strońskiego. Temat, potraktowany szkicowo w drzeworycie (klocek 52 x 63 mm), ujmuje moment po strzale, akcentując bardziej postać strzelca, niż psa, który, aczkolwiek jest ukazany na pierwszym planie, ale raczej schematycznie (tyle że smukły, gończy, bliżej nie dającej się określić rasy duży pies myśliwski, zbliżony do charta). Całość — efektowna i dobrze kompozycyjnie pomyślana, ma defekt w niedość precyzyjnem rozmieszczeniu pasów górnego i dolnego, noszących tekst napisu.

Pomimo tych zastrzeżeń — technicznie pewnie i śmiało wykonane obydwa lwowskie ex-librisy łowieckie, swą „psią" treścią pionierskie w powodzi naszej produkcji znaków książkowych, powinny zachęcić przyjaciół psów wśród zbieraczy książek do ozdabiania swych nabytków bibljotecznych nalepkami, pięknie świadczącemi o ich dwojakich umiłowaniach: bibljofilskich i kynofilskich.

Stefan Rygiel.

Nora

Wszyscy to wiecie, że pies
Ma ludzki rozum przecież.
Była raz suka NORA. Nieraz ją tak wabiłem,
Lecz gdy się wołało: ARON, wchodziła przez drzwi tyłem!
Słowo honoru, sambym przypuszczał, że to kawał,
Gdyby mi Artur Marja tego nie opowiadał.

Ludwik Puget.

Kronika zagraniczna

Nekrolog. Londyńska „Morning Post" ogłosiła niedawno — w czarnych ramkach — nekrolog następującej treści: „Pogrążeni w żalu zawiadamiamy o śmierci Petera, urodzonego w niedzielę, w Wielkanoc r. 1923, zmarłego dn. 2 grudnia 1935 r. i pochowanego w pewnym angielskim ogrodzie. Ten biały high-terrier był dzielny, szlachetny, odważny i pełen godności. Ubóstwiał on swoją panią i był przez nią ubóstwiany. Po jej śmierci przeniósł swoją miłość na jej potomków. Dziękujemy Bogu, żeśmy mogli posiadać takiego psa. Był on naszą radością w czasie naszego pobytu na ziemi, i wierzymy, że kiedy wybije godzina naszej śmierci i wstąpimy na tamten świat, Peter, radośnie szczekając, wybiegnie nam naprzeciw. Niech Bóg ma Petera w Swojej opiece!".

Z japońskich psich przesądów. W Chinach i w Japonji rozpowszechniona jest wiara, iż psy posiadają właściwości magiczne i uzdrawiające. Zwłaszcza Japończycy wierzą, iż pies może ochronić człowieka przed złemi duchami. Często też na czole dziecka kreśli się znak graficzny, oznaczający w piśmie japońskiem psa, który to znak ma bronić dziecka przed błędnemi duchami. Jeśli dziecko krzyczy po nocach, Japończyk odcina kosmyk włosów z podgardla psa i w czerwonym woreczku przywiązuje go dziecku do ręki.

Mieszaniec psa, lisa i wilka. W monachijskim ogrodzie zoologicznym wyhodowano osobliwych mieszańców psa, lisa i wilka. Mieszańca psa i lisicy skojarzono z amerykańską wilczycą. Wbrew rozpowszechnionej opinji o niepłodności bękartów, wilczyca urodziła troje szczeniąt. Były one ciemnoszare jak lisy i wilki; po psim dziadku oddziedziczyły białe łapki.

Wzór „pedigree". „Le Chasseur Français" przynosi artykuł, poświęcony opisowi wzorowego drzewa genealogicznego psa, jego „pedigree". Wzorowy „pedigree" powinien zawierać: nazwę psiarni, z której pies pochodzi, świadectwo — powiedzmy — ojcostwa, wydane i podpisane przez właściciela ojca, świadectwo urodzenia, wydane przez właściciela matki, wreszcie właściwą kartę genealogiczną. We francuskich rodowodach część górna poświęcona jest przodkom ze strony ojca, część dolna — przodkom ze strony matki. W pierwszej od lewej strony rubryce każdej z tych części wymienia się rodziców, w drugiej — dziadków, w trzeciej — pradziadków i t. d. Rodowody wykraczające poza szóste pokolenie są bardzo rzadkie. Przy każdym wymienionym w tej tablicy psie powinna być też przytoczona nazwa psiarni, z której pochodzi (ewentualnie nazwisko właściciela). Tylko pod tym warunkiem „pedigree" ma znaczenie, bo tylko wtedy jest sprawdzalny. Wartość „pedigree" zależna jest przedewszystkiem od powagi i wzięcia podpisujących go hodowców.

Inflacja „znakomitych" psów. Pani E. W. Casati zwraca uwagę w wiedeńskich „Unsere Hunde", że na współczesnych pokazach prawie wszystkie psy charakteryzowane są przez sędziów jako „znakomite" („vorzüglich"), „bardzo dobre", „dobre", a określenia takie, jak „zadowalający" („befriedigend") czy „przeciętny" („genügend"), niemal że zupełnie wyszły z użycia. Autorka tłumaczy ten stan rzeczy podniesieniem się poziomu hodowli i wysokiemi kosztami, związanemi z obsyłaniem pokazów, dzięki którym wystawcy wstrzymują się od wysyłania psów niepewnych. Uwagi redakcyjne polemizują z tem stanowiskiem. Zdaniem redaktora pisma, sędziowie, chcąc uchronić się od pretensyj wystawców i kłopotliwych pytań, z reguły oceniają psy zbyt łagodnie, stąd inflacja „znakomitych" psów. Walczą z nią hodowcy niemieccy zapomocą uchwały głoszącej iż sędzia, któryby uznał za „znakomitego" psa, mającego jakiś błąd, zostanie skreślony z listy sędziów. Nie na wiele się to jednak przydaje w praktyce.

Objawy starzenia się psa. Kynolog niemiecki dr. Hauck w ten sposób charakteryzuje objawy starzenia się psa: zapadnięcie się gałki ocznej (i związane z niem częste zapalenie spojówki), siwienie sierści na pysku, zwłaszcza koło warg i oczu, sierść traci połysk, staje się jaśniejsza wskutek ubytku pigmentu; ze wszystkich narządów zmysłowych najwcześniej upośledza starość wzrok, słuch również się przytępia, najdłużej trwa sprawność zmysłu powonienia. Nie znamy wypadków, aby psu wypadały ze starości zęby. Częstemi chorobami, na które stare psy zapadają, są reumatyzm i artretyzm. Stary pies wymaga częstego przemywania oczu, odpowiedniej diety (pokarmy powinny być rozdrobnione i ugotowane na miękko), przez ruchliwe ulice należy go prowadzić na smyczy.

Psie idiosynkrazje węchowe. „The Dog World" zwraca uwagę na mało dotychczas znaną dziedzinę różnych psich idiosynkrazyj węchowych. Tak np. niedawno w czasie pewnych wyścigów psich wszystkie psy, biorące udział w biegu, zatrzymywały się w pewnem miejscu toru, niedaleko mety. Ustalono, iż w miejscu tem była do niedawna kałuża, na której rosła rzeżucha wodna (rorippa nasturtium). Zapach walających się po torze liści rzeżuchy podziałał na psy w ten sposób, że przerwały bieg. Podobny wypadek zdarzył się kilka lat temu w Embleton.

Psie towarzystwo ubezpieczeń. W Londynie istnieje towarzystwo psich ubezpieczeń „The Canine Insurance Association". Można tam ubezpieczyć psy od choroby, zranienia, pokąsania, od nieszczęśliwego połogu i poronienia, od wypadku w podróży koleją, samolotem czy statkiem — całkiem tak jak ludzi. Charakter bardziej specyficznie psi mają ubezpieczenia od pogryzienia przez psa ludzi, owiec, zaduszenia drobiu.

...I psie biuro podróży. Biuro takie istnieje przy znanej londyńskiej firmie Spratta: załatwia ono wszystkie formalności związane z zagranicznemi podróżami psów i kwarantanną, wywozi psy, wreszcie ubezpiecza je od wypadku w drodze.

Jak oduczyć psa od szczekania po nocach. Często zmiana jednego legowiska nocnego psa na inne wystarcza, aby pies przestał szczekać. W ogromnej większości wypadków szczekają po nocach psy chowane nieodpowiednio, którym coś dolega. Należy więc w każdym wypadku zbadać, czy psa nie gryzą pchły, czy legowisko nie jest za zimne albo za gorące, czy miał on w dzień dosyć okazji do ruchu, czy wreszcie nie nadaje się na wizytę do weterynarza. Pies, który szczeka po nocach, powinien swój podstawowy posiłek otrzymywać po godzinie dobrych biegów, wtedy kiedy jest zmęczony i głodny. Zdarza się też, że pies szczeka po nocach w odpowiedzi na szczekanie innych psów. W tym wypadku prosta perswazja powinna wystarczyć, aby psa od takiego szczekania odzwyczaić.

Jak odzwyczaić psa od atakowania ptactwa domowego? W berlińskim dwutygodniku „Der Hund" czytamy artykuł o metodach odzwyczajania psów od napadania na ptactwo domowe. Najskuteczniejszą metodą jest wychowywanie szczeniaków w towarzystwie kur i gołębi. Gdzie na to za późno, należy wielo krotnie podprowadzać psa pod klatkę z drobiem i dopóty napominać go, aż zacznie przechodzić koło klatki zupełnie spokojnie. Jeśli pies zadusi kurę czy kaczkę, należy go możliwie najszybciej po dokonaniu „przestępstwa" skrzyczeć oraz zaduszoną kurą kilkakrotnie uderzyć po pysku. Autor artykułu podkreśla, że najczęściej stosowane metody odzwyczajania psów od atakowania ptactwa domowego zapomocą bicia są niepedagogiczne i zupełnie niepotrzebnie okrutne.

Podatki za psy amerykańskich miljonerów. W wielu stanach Ameryki Północnej niema stałej taksy podatku za psy: im właściciel jest bogatszy, tem podatek większy. Jak informują amerykańskie statystyki podatkowe, miljonerzy amerykańscy posiadają około 22 000 psów i płacą przeciętnie po sto dolarów rocznie od psa. Skarbowi Stanów Zjednoczonych psy te przynoszą więc rocznie 2 200 000 dolarów dochodu.

O nazwy ras psów we Włoszech. Jak donosi „Rassegna Cinofila", włoski „Kennel Club" postanowił zachować nazwy ras psów, wywodzące się od krajów, z których rasy te pochodzą, z tem, że będą one podawane odtąd w brzmieniu włoskiem. Tak np. „irish-terrier" będzie odtąd we Włoszech oficjalnie nazywał się „irlandese", „welsh-terrier" — „del galles" i t. p.

Pudle najposłuszniejszemi psami. Amerykański „Kennel Club" zorganizował przy pomocy specjalnego testu badanie stopnia posłuszeństwa psów. Najposłuszniejszemi psami okazały się pudle.

Nowy szkocki klub. W Edinburghu założono nowy klub. Klub ten, „National Bulldog Club", grupuje szkockich hodowców buldogów.

Międzynarodowy zjazd kynologiczny. Dnia 2 kwietnia b. r. obradował w Kopenhadze Międzynarodowy Związek Kynologiczny („Fédération Cynologique Internationale"). Zjazd zlecił francuskiemu towarzystwu kynologicznemu „Société Centrale Canine de France" zorganizowanie w Paryżu w ramach przyszłorocznej międzynarodowej wystawy IV Międzynarodowego Kongresu Kynologicznego, połączonego z międzynarodową wystawa psów. Ustalono, iż kongres odbędzie się w dn. 11 — 13 maja 1937 r., a wystawa — w dn. 15 — 17 t. m. Prezesem „F. C. I." na rok 1936/37 został obrany Francuz hr. de Danne, wiceprezesem — Austrjak Witzelhuber.

Doroczna wystawa belgijska. Doroczna wystawa belgijska, urządzona przez „Société Royale St. Hubert", zgromadziła w b. r. 510 psów 280 wystawców (w tem 48 wystawców zagranicznych). Laureatem królewskim został belgijski fox-terrier. Wszystkie trzy nagrody miejskie zabrały psy pochodzące z zagranicy. Laureatami były: francuski skye-terrier, holenderski cocker i szwajcarski scotch-terrier.

Międzynarodowy pokaz w Fontainebleau. „Société Canine de l'Ile de France" zorganizowało w dn. 9 sierpnia b. r. międzynarodowy pokaz psów w Fontainebleau. Łącznie z pokazem odbył się konkurs na najlepszego cockera 1936 r.

„The Dog World" o „Przyjacielu Psa". W zeszycie z dn. 26 czerwca b. r. londyńskiego „The Dog World" znajdujemy notatkę o „Przyjacielu Psa" pióra H. S. Jacksona.

W Belgji o „Przyjacielu Psa". Belgijski „L'Elevage" przynosi we flamandzkiej kolumnie numeru z dn. 28 czerwca b. r. notatkę o wspaniale ilustrowanym („prachtig geillustreed") „Przyjacielu Psa".

Gdzie jest pies?



Na rysunku niniejszym, zaczerpniętym z czasopisma „Hund", można z łatwością odnaleźć wizerunek psa.

Skrzynka do listów

Ewa Eichhornówna w Krakowie. Podajemy Pani tytuły szeregu polskich książek kynologicznych: Białasz J.: „Pies w mieście"; Błocki: „Nasze psy"; Chester J. H.: „Pies, wychowanie, pielęgnowanie i rasy"; G. M.: „Piesek pokojowy"; Hilfreich O.: „Pies zdrowy i chory"; Malhomme L.: „Wychowanie psa"; Otto E.: „Pies domowy, opieka, wychowanie i tresura"; Trybulski M.: „Psy, rasy, hodowla, tresura i leczenie".

J. W. w Przemyślu. W sprawie uzyskania psiego rodowodu radzimy zwrócić się do Związku Hodowców Psów Rasowych, Warszawa, Kopernika 30. O wiele jednak praktyczniejsze jest w danym wypadku kupno psa z gotowym rodowodem.

Trudno nam na odległość podać pewną przyczynę drżenia przednich nóg psa. Możliwe, że jest to niegroźna zresztą pozostałość po przebyciu nerwowej formy nosówki. W razie gdyby te objawy się wzmagały, należy udać się z pieskiem do lekarza weterynarji, który dzięki możliwości zaobserwowania i innych symptomów będzie mógł ustalić rozpoznanie i przepisać jedynie właściwe, przyczynowe leczenie.

Dr. M. C.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1,20 kwartalnie, zagranicą zł. 1,50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.
OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerok. 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI